

JULES CLARETIE.

Tajemniczy oskarżyciel.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

13 Energicznym wysiłkiem powstał raz jeszcze i podszedł do kasy, otwierając wszystkie szuflady, wszystkie skrytki. Twarz jego rozgorączkowaną pokryła błądź śmiertelna.

— Niema ich, niema — powtarzał obłędnie. — Boże! Co to się stało! Niema ich tutaj!...

Odwrócił się do mnie i przez złość wyrazem jego oczów... Błędne były, nieprzytomne, straszne. Osłabionym ruchem podniósł ręce do skroni i wyszeptał, jak w śnie gorączkowym:

— Tak, tak, przypominam sobie... Schowałem to gdzieś. Tak, tak, schowałem... Ale gdzie? gdzie? Nie wiem, nie wiem... Może w książkach... Jazw, słuchaj, może w książkach... Ale w których... mój Boże... w których...

Spojrzenia jego niespokojnie biegały po całym pokoju. Widziałem, że biedak, pod wpływem nocnych swoich przywidzeń, tracił teraz przytomność umysłu i pamięć. Wyglądał na człowieka, który tonie a nie ma czego się uchwycić, aby się ratować.

Stał jeszcze przy otwartej kasie i w chwili, kiedy chciał się odwrócić, zachwiał się i byłby runął na ziemię, gdyby go był w ramiona nie pochwytił.

— Gdzież one są? Gdzież je ukryłem? — powtarzał obłędnie. — Przecież tu... tu być powinny!

To wówczas właśnie, w tej samej chwili, pani sędzina, weszła do pokoju dozorczyń, pani Moniche i ujrzała nas, stojących naprzeciw siebie przed rozłożonymi papierami. Musiałem i ja być niespokojny i zmieszany, bo silne wzruszenie ogarnęło mnie i nie pozwoliło słowo wymówić. Na widok jej, Rv-re zmarszczył brwi i rzekł gwałtownie:

— Czego pani sobie życzy? Nie trzeba mi nic, proszę odejść i nie wchodzić, aż z dzwonem!

Ale pani Moniche miała czas zobaczyć kasę otwartą i nasze niezwykle pomieszczone twarze. Papiery rozrzucone w szufladach musiała wziąć za papiery wartościowe. Rozumiem, że łatwo mogła się pomylić i oskarżyć mnie następnie. Było pomiędzy mną a Rv-re coś tragicznego, co nie mogło ująć jej uwagi. Kobieta ta przeczuła to i odgadła. Ale to, co nastąpiło po jej wyjściu, było stokroć tragiczniejsze... Zdawało mi się, że mój biedny przyjaciel oszalał. W mózgu jego przemęczonym musiała się odgrywać straszna walka pomiędzy wolą jego i chorobą. Stał ciągle przy kasie, chwytając się lekko na nogach i resztką sił umysłowych starał się przypomnieć, wynaleźć ślad krwawki, gdzie mogły być złożone te nieszczęsne obligacje. Widziałem, jak szalonym wysiłkiem przywoływał gorąco ostatni błysk zwykłej swej energii, opierając się ogarniającej go niemocy i apatii, która pamięć jego pokrywała zapomnieniem, gotując wokół oczy, powiększone przerażeniem i gorączką.

Był to okropny widok, pani sędzina, ta walka przeciw pamięci, która uciekała nagle, zanikała, może na zawsze. Dreszcz zgrozy mnie wstrząsnął od stóp do głowy, dreszcz, którego nie doświadczałem nigdy, nawet wówczas, kiedy, pani sędzina, ogłoszono mi wyrok, oskarżający mnie o morderstwo Rvera — kiedy ten nieszczęsny, szalony człowiek rzucił się jak zwierzę dziki na pozostałe papiery, ujął w chude palce i miał je, dając rozpaczliwie, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi. W końcu rzucił je ze siebie kłóścią na ziemię, wołając nienaturalnym głosem:

— Ah dekoracje! Tak, dekoracje! Te mi pozostały! Odznaki, nagrody! Zabawki dziecięce, papiery! Dajcież to mi jest potrzebne? Czy to jej da możność życia? Ah, przeklęte, przeklęte moje życie!

Sniech jego dziki, szalony, rozlegał się po pokoju. Został, której się nie spodziewałem u niego, deptał, miażdżył walujące się po ziemi resztki dekoracji, lecz w pewnej chwili zachwiał się silnie i wyszeptał:

— Duszę się! Jerzy, ratuj!

Rzuciłem się do niego i pociągnąłem go do kanapy, gdzie go ułożyłem, jak mogłem najwygodniej. Byłem pewny, że to już koniec jego męki i lęk mnie ogarnął nagły. Byłem sam z nim i odejść nie mogłem, aby pobić po ratunek.

Jednakże po chwili odzyskał przytomność. Ale jakże mogłem po takim zemdleniu i napadzie szaleństwa mówić mu jeszcze o córce i o majątku, jaki chciał jej pozostawić? Zresztą, sam o tem nie wspominał i nawet całkiem zapomniał o poprzedniej naszej rozmowie.

Zaczął mówić jakieś dzieciństwa, o tem, że wkrótce wyjdziemy razem, tworzył projekta.

— Pojedziemy do lasu bułńskiego — mówił, uśmiechając się — Tam ziemy śniadanie... a potem udamy się do Aten... Wiesz, Jerzy... do Aten... Zawsze pragnąłem być w Grecji. Tak, już podróżowałem w swoim życiu, ale tego kraju nie odwiedziłem jeszcze...

Mającymi najwidoczniej, jak w pierwszych dniach choroby. Mówił mi sobie: Muszę poczekać, może jutro po dobrze spędzonej nocy odzyska przytomność umysłu i przypomni sobie wszystko. Mam jeszcze kilka dni przed sobą... Mówić z nim dzisiaj o tem, byłoby wielkiem niebezpieczeństwem!

Pomogłem mu zamknąć do kasy porzucane po ziemi papiery, w części zniszczone i podarte, czego nie zauważył wcale... Dziwny, tępy uśmiech osiadł mu na twarzy — ruchy jego były sztywne, automatyczne.

Po chwili rzekł cicho:

— Jestem bardzo zmęczony i senny, myślę, że zasnę. Mój żesz już odejść, ale wkrótce niedługo.

Pozostawiłem go więc i odszedłem. Wyciągnąłem się wygodnie na kanapie, a kiedy, przed odejściem jeszcze, okrywałem go szalem, wyszeptał:

— Ach, spać, spać — to tak dobrze mózgu usnąć!

Na razie nic mu nie groziło. Mówiłem sobie, powrócę jutro. Jutro próbował będę obudzić znowu ten umysł przyćmiony i wskrzęsić drżącą wolę. Jutro pamięć mu wróci i wtedy przypominam sobie może, gdzie, w której książce ukrył obligacje, cały majątek jego córki. Jutro! Jest to słowo, które się tak często wymawia lekkomyślnie, a którem się nie powinno posługiwać, kiedy chodzi o rzecz ważną!

Nazajutrz, pani sędzina, miałem ujrzeć mojego przyjaciela bez życia, zamordowanego niecnie, leżącego z gardłem rozciętym! Zamordowany! Ale przez kogo? Człowiek, którego obecnie osadziliście w więzieniu, podróżował wiele i zdalaka przybywa. Rv-re był konsulem w Buenos Ayres. Przypominam panu sędzino słowa mojego przyjaciela, wyrzeczone w dniu ostatniego naszego spotkania:

— Spotkałem tyłu nędzników na świecie. — Oto cała prawda, pani sędzino! Powiniennem być, przyznaję, wyjawić ją panu wcześniej. Ale teraz pan zrozumie, że nie łatwo mi było zdradzić tajemnicę, zawierzoną mi pod przysięgą. Musiałem wydać opinii publicznej nazwisko kobiety i człowieka, który nie był w niczem winien temu nieszczęściu i wyjawić to, co Rv-re od lat wielu tak starannie ukrywał. A zresztą, tak, jak już mówiłem panu sędzino, zdawało mi się, że ta prawda powinna być sama ze siebie wystąpić na jaw. Kiedy zostałem zaarrestowany, przez pewien rodzaj szalonej brawury chciałem czekać na sprzyjające mi okoliczności, na los ślepy, który zniweczyć mógł w jednej chwili wszystkie oskarżenia na mnie nagromadzone. I zapaliłem się do tej gry. Chciał mi śmiało stawić czoło i oskarżeniom pana, pani sędzino i losowi, który w tak dziwny sposób zdrwił sobie ze mnie. Ani na chwilę nie przypuszczałem, że ta okrutna pomyłka mogła trwać długo. Lczyłem na swoje szczęście, na wygraną! Przecież tylko zależało odemnie zakończyć jednym słowem tę smutną komedię, ale, jak powiadam, wahałem się i dobrowolnie znosiłem ciężar tego uporowego wahania, bo słowem tem było nazwisko kobiety!...

— Nie zapytałem pana dotąd o to nazwisko — odparł Ginory — chociaż, jako sędzia, mam prawo do tego.

— Nie chciałem go wydać urzędnikowi policji — rzekł Jerzy Montin — ale człowiekowi uczciwemu zawierze je z całym zaufaniem.

— Niestety, jestem tutaj tylko urzędnikiem — odpowiedział pan Ginory. — Ale wiedz pan, że i tutaj posiadamy tajemnice, nieznane nikomu, tak, jak się to zdarza w życiu prywatnem.

I wtedy Jerzy Montin wymienił nazwisko, które nosiła przed prawem i ludźmi, ta, którą Piotr Rv-re nazywał córką swoją.

XV.

Dla pana Ginory'ego, pana Leriche i Bernardeta od tej rozmowy sprawa morderstwa, popełnionego na panu Rv-re, zupełnie wyjaśnioną została. Nie było już żadnych wątpliwości. Prawdziwym mordercą był Karol Prades.

Paweł Rodier, zapalony w swoim zawodzie reporter, dowiedział się pierwszy o aresztowaniu młodego człowieka i, porzucając artykuły o „Damie w czerni“, przerzucił się natychmiast na sensacyjny artykuł, w którym donosił o wielkiej zmianie w śledztwie i z bujnej swojej wyobraźni wycisnął wiele nieprawdopodobnych szczegółów z życia nowego oskarżonego. Ludwika Pradesa. Nazwał go przede wszystkim Carlosem Ludovicem Pradesem i przedstawił go swoim czytelnikom jako poskramiacza

dzikich zwierząt, cowboya, włóczęgę z równą zręcznością amerykańskim rewolwerem jak meksykańskim „lasso“ przeciw wrogom swoim Anglikom. Paweł Rodier koloryzował z namietnością malarza opowiadanie swoje. Według jego przekonania Carlos Prades, przebywający nigdyś w Buenos Ayres, żywił śmiertelną nienawiść do byłego konsula, za jakiś czyn jeszcze niezbadany i tem tłumaczył popełnioną zbrodnię. Nie był to zwykły rzezimieszek, chciwy pieniędzy, który je dokonał, ale oszalały mściciel, wymierzający sam sobie dawną upragnioną sprawiedliwość. W jednym znow z artykułów swoich pomysły reporter zapuścił się w niejasne i tajemnicze przyczyny. Carlos Prades był znowu narzędziem jakiegoś stowarzyszenia mścicieli, być może nawet zagorzałych anarchistów. To znowu wspominał dyskretnie o jakiejś rywalizacji w miłosnej dramatycznej sprawie, której republika argentyńska była niegdyś widownią.

Jednym słowem, potrafił zręcznie swoim piórem wywołać zainteresowanie publiczności i postawić młodego człowieka, prowadzonego przed kilkoma dniami do aresztu przez Bernardeta, w zajmującym oświetleniu.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, reporter intuicyjnie odgadł jedną część prawdy.

Piotr Rv-re był ofiarą swojej przeszłości. I ta przeszłość właśnie uzbroiła rękę zbrodniarza, z którym się spotkał oko w oko w mieszkaniu swoim przy bulwarze Clichy.

Przed latami jeszcze, w Buenos Ayres, były konsul przystąpił do wielkiego przedsięwzięcia rolnego i stał się współnikiem człowieka, którego gry hazardowne i przeróżne spekulacje zrujnowały doszczętnie. Człowiek ten, umierając, pozostawił dwoje dzieci. Młodą dziewczynę, którą nawet Rv-re przez czas jakiś miał zamiar poślubić i młodszego od niej — syna. Dwoma temi biednymi istotami, które pozostały po likwidacji majątku ojca bez możności do życia, zaopiekował się Rv-re. Jan Prades, przed popełnieniem samobójstwa, gdyż innego wyjścia dla siebie nie widział, oddał dzieci swoje pod jego opiekę.

Carlotta, obdarzona niezwykłą urodą, byłaby wkrótce została żoną byłego konsula, lecz śmierć przedwczesna zabrała ją, pozostawiając w duszy Rvera niewygasłe dla niej serdeczne wspomnienie. Wspomnienie to często w następnych latach nawiedzało go, kiedy, siedząc w mieszkaniu swoim przy bulwarze Clichy, zagłębiał się coraz więcej w rozmyślaniach swoich samotnych, zdalaka od ludzkiego gwaru i ciekawości krewnych.

— Może ta umarła byłaby mi dała to szczęście, którego szukałem przy matce Marty — myślał często Rv-re, wspominając lata minione. — Przynajmniej dziecko jej nosiłoby teraz moje nazwisko i miałbym je przy sobie.

I smutek tego rozczarowania i żal za tem jasnym widzeniem, tak wczesne rozwiłaniem, mieszało się z gorącą miłością niedozwolonej i zatrzymywało dalsze dni jego życia.

Chcąc znaleźć jakąś pociechę w swej boleści, Rv-re przelał na brata Carlotty serdeczne uczucie, jakie miał dla niej. Poza tem chciał zadośćuczynić ostatniej prośbie zmarłego.

Syn Jana Pradesa był naturą gwałtowną, żądną życia. Przypominał dobroć i siłę swojego opiekuna, jak rzecz, należną sobie. Te dwa nieszczęśliwe widma, zjawiające się w wspomnieniu Rvera, ojciec z roztrząskaną głową od kuli rewolwera i siostra, umierająca w pierwszych latach młodości, zapewniały młodemu Karolowi życzliwość i współczucie Rvera.

— Był współnikiem mojego ojca i narzeczonym siostry — pociecha dla siebie. — Mogę z tego ciągnąć ładne korzyści. Daj Boże, ażeby wszyscy mieli podobnych opiekunów!

Albowiem, ciągle żądania Pradesa, który twierdził, że ma prawo do dzielenia się kasą z współpracownikiem jego ojca, zaczęły drażnić Rvera. Młody Prades nie prosił już, lecz wyrażał i to w tonie nie zawsze odpowiednim stawiał swoje wymagania. Rv-re stał się wkrótce dla tego lekkomyślnego człowieka i zapalonego gracza żyjącą maszyną do regulowania jego długów, wzrastających z dniem każdym.

Jednego dnia jednak Rv-re, doprowadzony do ostateczności zuchwalstwem swojego pupila, oznajmił mu kategorycznie, że więcej już na jego pomoc liczyć nie może.

Było to w Buenos Ayres, przed samym powrotem konsula do Francji. Rv-re złagodził to swoje stanowcze postanowienie ostatecznem dobrodziejstwem. Wręczył młodemu Pradesowi dosyć znaczną sumę, dzięki której mógł czas jakiś żyć spokojnie, czekając na dalszy los szczęścia i pożegnał się z nim obojętnie.